

Powóz zatrzymał się przed kaplicą „San Antonio de la Florida“. Ludwik wysiadł i dawszy woźnicy znak, aby czekał, poszedł ku kapliczce. Ale na znaczący kaszel woźnicy odwrócił się. Z tramwaju zeszła dama, zмирzając w jego stronę.

Wysmukła, zgrabna, zlizwała się do niego, szeleszcząc swymi strojami dessous. Ludwik uczył zapach perfum, którymi był przepojony list, w jego kieszeni. Tak, to ona!

Kiedy jednak dama znalazła się o kilka kroków od niego osłupiał. Przed nim stała Ernestyna.

— Ażebym się z tobą zobaczyć, trzeba używać fortelów, budzących wstręt w duszy uczciwej kobiety — odezwała się ze smutnym, lecz pełnym słodyczy uśmiechem.

Do kroćset! Pomyśleć, że dla tego niemiłego spotkania tak wczesnie wyszedł z domu! Schadzka z własną żoną! Jakżeby drwili z niego przyjaciele klubowi, gdyby dowiedzieli się o tem!

Dwie praczki zatrzymały się w pobliżu pod pozorem zmęczenia, ażeby usłyszeć rozmowę tego pana i tej pani.

— Wsiadał...! Wsiadał...! — zawołał Ludwik rozkazującym głosem do żony. Komizm sytuacji irytował go.

Woźnica ruszył w drogę ku Pardo (park królewski, przylegający do Madrytu, do którego prowadzi piękna aleja z de la Florida). Małżonkowie, sparaliżowani niezwykłą sytuacją, milczeli.

Ona zaczęła. Ach! Przeklęta! Istny chłopiec w spódnicy! Dlatego uciekł od niej! Ponieważ, mimo pozorną łagodność pieściotliwej kotki, zawsze stawiała na swoim.

— Słuchaj, Ludwiku... Kilka słów tylko. Kocham cię i jestem zdecydowana wszystko znieść. Jesteś moim mężem i przy tobie powinnam żyć. Obchodź się ze mną, jak chcesz. Bij mnie nawet... będę cię kochała, jak kobiety, które w razach widzą dowód miłości. Chcę ci powiedzieć, że należysz do mnie i nie oddam ci nikomu. Zapomnijmy o przeszłości; możemy jeszcze być szczęśliwi. Ludwiku, mój najdroższy, która kobieta może cię tak kochać, jak twój żona?

Chciał milczeć, być wzgardliwym, znużyć ją swoim chłodem, ale przemówienie jej wyprowadziło go z równowagi...? Zacząć wspólne życie...? Zaraz...? Czy Ernestyna myśli, że on jest warjat...?

— Pani zapomina, że są rzeczy, których się nie przebacza...! Dobrze nam tak jest, zresztą! Po co zmieniać...? Nie jesteśmy stworzeni do wspólnego życia, dość wspomnieć ostatnie miesiące naszego małżeństwa — istne piekło. Rozstanie służy nam; ja doskonale się czuję, a pani... piękniejsza, niż kiedykolwiek! O, słowo daję, że szaleństwem byłoby psuć madrze dzieło czasu.

Lecz ani ceremonjalne „pani“, ani raczej przytaczane przez Ludwika, nie mogły przekonać Ernestyny. Nie jest w stanie żyć dalej w ten sposób. Jej sytuacja w towarzystwie dwuznaczna. Kobiety irują ją

za lekką iatwą do zdobycia, bez serca i wszelkich uczuć rodzinnych.

— Powiedz, Ludwiku, czy to prawda?

Ale Ludwik, który słyszał już to wszystko od tych, których mu Ernestyna nasyłała, odwrócony prawie że plecami od niej, patrzył na drogę Los Viveros, wysadzana drzewami, pod którymi kłębił się wesoły tłum.

Ernestyna tymczasem ciągnęła dalej z ustami coraz bliżej ucha męża. Żyłaby jednak spokojnie zdala od niego, gdyby nie zazdrość. Tak, niech się Ludwik z niej śmieje, ale od roku jest o niego zazdrośna, bo dowiedziała się o jego życiu zakulisowym z ladacznicami, które go rujnują. Czy może słuchać o tem ze spokojem? Czy nie powinna bronić swoich praw do męża, jedynego dobra, jakie posiada w życiu...?

Ludwik już nie siedzi do niej plecami. Patrzy jej wprost w twarz z majestatyczną i wyniosłą miną:

Robi, co mu się podoba! Nie potrzebuje się przed nikim tłumaczyć. Niech pani pamięta, że i ona nie była w zgodzie ze swymi obowiązkami. Kiedy się ma serce złamane, trzeba się starać zapomnieć, rozerwać myśli...

Mówiąc tak, Ludwik ma oczy utkwione w żonę.

Jakaż ona piękna, szelma! To nie jest już młodzianka, ładna paniątka o wątłej i delikatnej budowie, która bała się dekolty, ażeby nie świecić wklęsłościami obojętków! Przez te pięć lat rozstania z nim rozkwitła i jest dziś czarująca, rozkoszna kobieta o kształtach zaokrąglonych. Jaka szkoda, że to właśnie Ernestyna, jego żona!

Ona zaś, czytając w jego myślach, przysuwa się doń coraz bliżej, poddana, jak ofiara, żalująca swej lekkomyślności, wynikłej z braku doświadczenia, gotowa znieść męki wzamian za trochę miłości.

Ludwik unika teraz zetknięcia z jej ciałem. Związa się w kłębek w kacie pojazdu, jak nieśmiała dziewica. Myśl o towarzyszach podtrzymuje go jedynie. Co powiedziałby na to przyjaciel jego markiz V., prawdziwy filozof, który szczęśliwy z odzyskania swobody przez rozwód, kłania się swojej żonie na ulicy i całuje jej dzieci, urodzone dawno po rozstaniu z nim. Ten, to przynajmniej męczyzna, godny tej nazwy! Trzeba położyć koniec tej śmiesznej scenie.

— Nie, Ernestyno — odzywa się stanowczo, mówiąc jej ty — nigdy już nie rozpoczniemy wspólnego życia. Znam cię. Jesteście wszystkie do siebie podobne! Idź swoją drogą! Niech ci się zdaje, że nie znalazł się nigdy...

Nie mógł skończyć, gdyż Ernestyna, odwróciwszy się do niego plecami, zaniósł się od gwałtownego płaczu.

Zalując swej brutalności, kazał woźnicy stanąć. Zatrzymali się przy Porte de Fer (Brama żelazna), prowadzącej do parku Pardo. Nikogo w tej chwili nie było na ulicy.

— Idź po wodę — rozkazał woźnicy — lub po coś innego — pani zachorowała.

I podczas gdy woźnica biegł do sąsiedniego szynku, Ludwik próbował pocieszać swoją żonę:

— Uspokój się, Ernestyno. Czy to warto? Śmieszna jesteś. Wyglądasz, jak mała dziewczynka.

Ernestyna kłała jeszcze, kiedy woźnica przybiegł z butelką pełną wody. Zapomniał w pośpiechu wziąć szklankę.

— Mniejsza o to. Pij!

Ernestyna, wzięwszy butelkę, podniosła woalkę. Żadnych barwidel na twarzy, jak za czasów, kiedy bywała w świetle; skóra jej była świeża, czysta i biała z odcieniem różowym.

Ludwik utkwiał oczy w ślicznych wargach, które się ściągły, ażeby przyłgnąć do szyjki butelki. Ernestyna piła z trudem po kropelce. Jedna z nich spadła na okrągły i zgrabny podbródek. Toczyła się leniwie w dół. Ludwik śledził ją oczami, przysuwając się coraz bliżej. Już ma spaść z twarzy... już odpada...

Lecz nie odpadła, Ludwik bowiem, nie zdając sobie sprawy, co robi, wziął ją na swoje wargi i w tej samej chwili uczył uścisk ramion żony, która wydała okrzyk zdziwienia i radości.

— Nareszcie...! Ludwiku, mój najdroższy...! A widzisz, mówiłam! Jakiś ty dobry!

I ze swobodą tych, co nie potrzebują kryć się z miłością, ucałowali się głośno, nie zwracając uwagi na zdumioną karczmarzkę, która przyszła po butelkę.

Woźnica, nie czekając rozkazu, trzasnął z bicia i zawrócił do Madrytu.

— Mamy teraz panią — mruzczał pod nosem, popędzając konie. — Wracajmy prędko, nim się pan rozmyśli.

W powodzie, małżonkowie, trzymając się wpół, patrzyli sobie w oczy rozmiłowanym wzrokiem. Kapelusz zsunął się Ludwikowi z głowy i Ernestyna burzyła mu włosy na głowie, jak w okresie miodowych miesięcy...

Kiedy mijali kaplicę świętego Antoniego, Ernestyna, oparta o ramię męża, wyprostowała się, mówiąc:

— To on zrobił ten cud, żeśmy się pojednali ze sobą. Kiedy byłam małą dziewczynką modliłam się do niego, aby mi dał dobrego męża. Roztacza made mną powrotnie swą opiekę, zwracając mi mojego najdroższego Ludwika.

— Nie, kochanie; twoja piękność zrobiła ten cud.

Ernestyna zawahała się chwilę, poczem odparła poważnie:

— Wiem o tem, drogi Ludwiku, że to, co cię jedna ze mną nie jest tem uczuciem, którego od ciebie pragnę. Wzięłam cię moją urodą i pożądaniami, jakie w tobie budzę. Wracasz do mnie, jak do kochanki, ale zobaczysz, że dobrocią i przywiązaniem doprowadzę cię, jestem pewną, do tego, że będziesz mnie kochał i ubóstwiał, jak żonę.

Skrót i tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 10 marca 1929 roku.

Nr. 10

Okręgowy Sąd Pracy w Łodzi.



W miesiącu lutym r. b. odbył się w łódzkim Sądzie Okręgowym podniosły akt zaprzysiężenia ławników do Okręgowego Sądu Pracy. Powyżej widzimy grupę zaprzysiężonych ławników z p. prezesem Sądu Okręgowego w Łodzi, sędzią Stefanem Belżyńskim na czele. Fot. A. Meyer.

TEATRALIA

„Miłość bez grosza“. — Sezon Reduty. —
Nowości paryskie. — Teatry w Sowieciech.

Ulubieniec publiczności warszawskiej, bardzo płodny i zręczny technik sceniczny, Stefan Kiedrzyński, wystawił w warszawskim Teatrze Małym, najnowszą swą komedię p. t. „Miłość bez grosza“. Kiedrzyński jest doskonałym fotografem mieszczańskiego świata, w powojennej edycji; daje zazwyczaj dobrze uchwycone, migawkowe zdjęcia głupstw i śmieszności tego świata, nie bawiąc się w psychologizmy i głębie, zupełnie w danym wypadku zbyt — nie na miejscu. Autor „Miłości bez grosza“ nie ma też pretensyj do moralizatorstwa, nie posiada zamiłowań do satyry. Daje poprostu pewne wycinki stołecznego życia, z tego zakresu rzeczywistości, gdzie niemal jedynymi składnikami deklinacji. Zresztą, ten zbierany bez wysiłku materiał komediowy przerabia Kiedrzyński w zajmujący naogół i żywy kształt sceniczny, figurki swoje puszcza w ruch umiejętną ręką, a w rezultacie — zadowolenie publiczności i sukces autora.

„Miłość bez grosza“ jest to historia eksperymentu pewnego naiwnego małżonka, który sądził był, że jego żona, nosząca wdzięczne imię Witaminki, zdolna jest do bezinteresownego uczucia. Eksperyment wypadł negatywnie, jeśli chodzi o stwierdzenie wartości moralnej pani Witaminki; to znaczy, że bohaterka komedii zademonstrowała dostatecznie przekonująco, i to na njejednym przykładzie, że „miłość bez grosza“ nie uznaje, że niezbędne jej są dla rozgrzania erotycznych emocyj pieniądze i luksusy — mimo, że pierwsza młodość pani Witaminki upłynęła w... suterynie, u boku mamusi, zajmującej się zawodowo sprawami balji. Efekt doświadczeń męża Witaminki — zwłaszcza w dzisiejszej dobie — nie jest zapewne niespodzianką; większą natomiast niespodzianką może być koncept autorski, że pierwszeństwo w wyścigu o miłość Witaminki zdobył czy utrzymał inąż, chociaż zwycięstwo zależało również od zawartości portfela, jak i od wszystkich innych atutów rywali. No — ale tym razem mężem nie jest byle kto, lecz sprytny i obrotny aferzysta Ordoński, tak, że u jego boku Witaminka ma zapewnione futra, klejnoty, ananasy i kokosy. W „Miłości bez grosza“ doskonały typ wiejskiego ramola dał p. Janosza-Stępowski, nie po raz pierwszy popisujący się w podobnych rolach. Obok niego, pp. Małicka i Grabowski odegrali z powodzeniem role nowoczesnych małżonków.

W ostatnich miesiącach wystawiła „Reduta“ wileńska „Krag interesów“ — Benavente, „Uśmiech losu“ — Perzyńskiego, „Murzyna warszawskiego“ — Słonimskiego oraz „Trójkę hulajską“ — Nestroya. Pierwszą i ostatnią z wymienionych sztuk reżyserował p. Trzciański, b. dyr. teatru krakowskiego; dyr. Trzciański znalazł sobie w Wilnie obszerne pole do pracy inscen-



Teatr Kameralny w Łodzi wystawił w ubiegłym miesiącu 3-aktową współczesną komedię angielską „Kokoty z towarzystwa“ — F. Lonsdale'a. Powyżej widzimy fragment jednego z aktów tej sztuki z p.p. Grywińską i Dziewońską.

zacyjnej, a że trud ten wieńczy powodzenie — o tem świadczą bardzo pochlebne głosy prasy miejscowej. Niemalą atrakcją bieżącego sezonu „Reduty“ są występy Stefana Jaracza, witane serdecznie i gorąco. Zespół redutowy ujawnia coraz więcej poważnych i wybitnych indywidualności aktorskich, wśród których wymienić należy choćby tylko pp. Chmielewskich, Karbowskiego, Pagowskiego, Mielecką, Kossocką, nie wspominając już innych, dobrze zazwyczaj dotrzymujących kroku protagonistom obsady.

Jeden z teatrów paryskich wystawił starą komedię angielską „Volpone“, pióra współczesnego Szekspira — Ben Jonsona. Adopcji scenicznej dokonał Stefan Zweig, który na premierę zjechał specjalnie do Paryża. Oryginalne wartości sztuki, z wielką drobiazgowością zrealizowanej i nieprzeciętną obsadą aktorską uczyniły z „Volpone“ niemal clou tegorocznego paryskiego sezonu. W charakterze rywala słynnego teatryku „Grand Guignol“ powstał w Paryżu podobny teatr p. n. „Theatre St. Georges“. Jest to scenka spotęgowanych w setnym stopniu najprzeróżniejszych okropności, od których pocziwym mieszcuchom włosy powstają na głowie. Premiera, zawierająca rewję p. t. „Noc u Edgara Poë“ pełną strasznych niesamowitości, „uświetniona“ została wkroczeniem... policji, która

musiała mitygować zbyt zapalonych przeciwników tego rodzaju „sztuki scenicznej“. Zresztą, nie jest stwierdzone, czy ten premierowy skandal nie był czasem reklamowym trickiem nowego przedsięwzięcia. Bardzo to nawet prawdopodobne i mieści się całkowicie w granicach „postępu“ reklamy...

Prasa rosyjska podaje interesujące cyfry, dotyczące ilości teatrów, działających na terenie republiki sowieckiej. Tak więc, w sezonie ubiegłym było ogółem w Rosji 203 teatry, 26 w Moskwie i 15 w Leningradzie. Na prowincji pracowało 15 teatrów obiadzowych. Poza tem w różnych miastach i miasteczkach Rosji daje przedstawienia 28.000 (?) dramatycznych zespołów amatorskich. Jeśli chodzi o cyfrę teatrów zawodowych, nie jest ona bynajmniej imponująca, w stosunku do ogromu terytorjalnego Rosji. Poza tem wypada podkreślić, że — wyjąwszy kilkanaście teatrów w większych miastach Rosji, o ustalonej przeszłości i dobrych tradycjach — większość teatrów, szczególnie prowincjonalnych, pozostawia pod względem artystycznym bardzo wiele do życzenia i stanowi raczej placówki propagandy komunistycznej, niżli instytucje teatralne o mniej więcej przyzwoitym poziomie.

Delta.



W ubiegłym miesiącu w szkole powszechnej im. Króla Bolesława Chrobrego odbyła się podniosła uroczystość poświęcenia kaplicy szkolnej przez J. E. Ks. biskupa dr. Tymienieckiego w obecności młodzieży i zaproszonych gości.



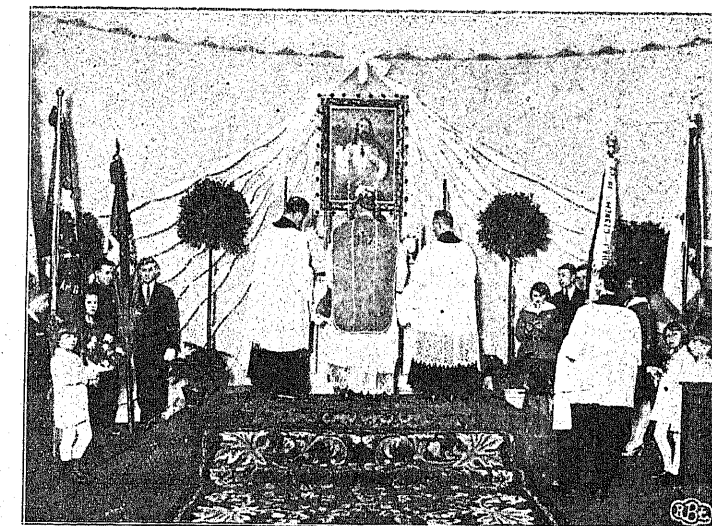
Nowa placówka handlowa w Łodzi. Otwarcie zakładu winnowódzanego p. Brzozowskiej, wdowy po tragicznie zmarłym w ub. r. w Toruniu podporuczniku 28 p. Strzelców Kamiońskich w Łodzi.



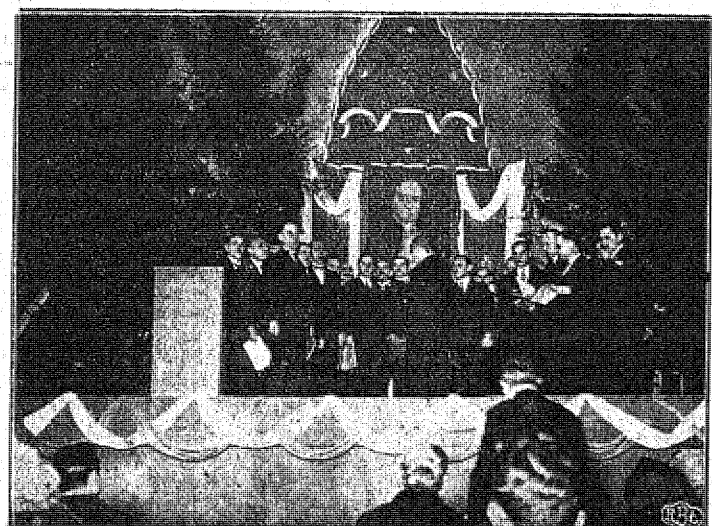
W ubiegłym miesiącu Łódź robotnicza uczciła podniosłą akademią w Domu Ludowym przy ul. Przejazd 50-letni jubileusz kapłaństwa Ojca św. papieża Piusa XI. Powyżej od strony lewej uczestnicy akademii z J. E. ks. biskupem sufraganiem dr. Tomczakiem, prałatem Bączkiem oraz księżmi na czele, na prawo zaś chór Tow. Śpiewaczego im. Moniuszki, biorący udział w akademii.



Artysta malarz p. Antoni Tadeusz Wippel, którego reprodukcje prac zamieszczamy na stronie siódmej.

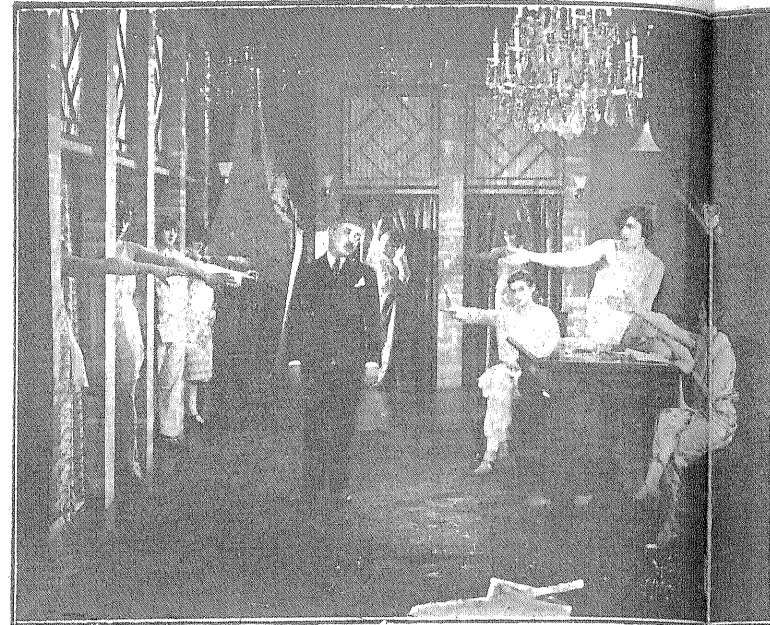


W dniu 24 lutego r. b. druga drużyna harcerska święciła 61-letnią rocznicę zgonu swego patrona bohaterskiego W. Łukasiewskiego, majora Wojsk Polskich. Powyższe zdjęcie przedstawia moment z Mszy św., odprawianej przez J. E. ks. biskupa Tymienieckiego.

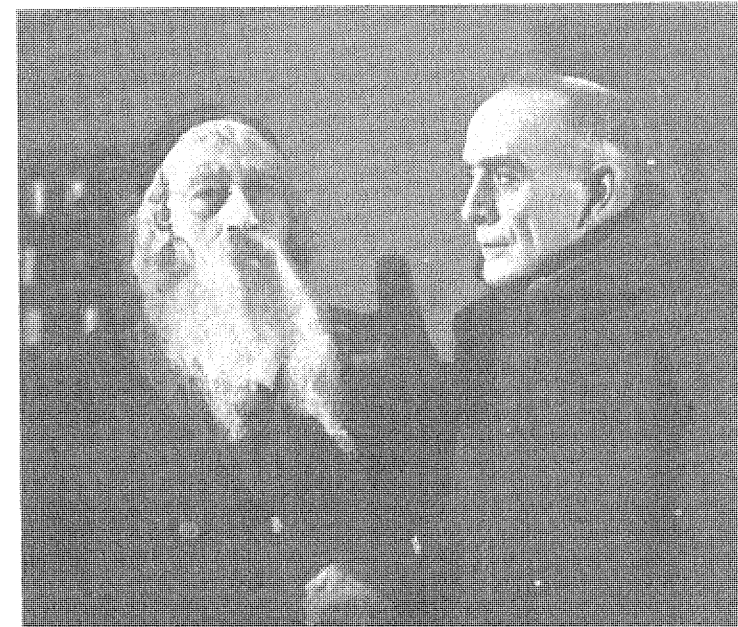




Zbyszek Sawan, najpiękniejszy amant filmu polskiego w najnowszym obrazie produkcji krajowej p. n. „Człowiek o błękitnej duszy“, odtworzył postać artysty malarza.



Fragment z filmu „Ulica Wspomnień“, w którym główne role odwarzają Mary Kid i Igo Sym.



Dwie postacie „Pana Tadeusza“. filmu, który obiega obecnie wszystkie srebrne ekrany Polski: ksiądz Robak i Jankiel — Szymański i Samberg.



„Wesołek“ srebrnego ekranu, Clara Bow, przemiły urwis filmowy.



Jenny Jugo i Ernest Verebes w filmie „Sześć dziewcząt w poszukiwaniu noclegu“.



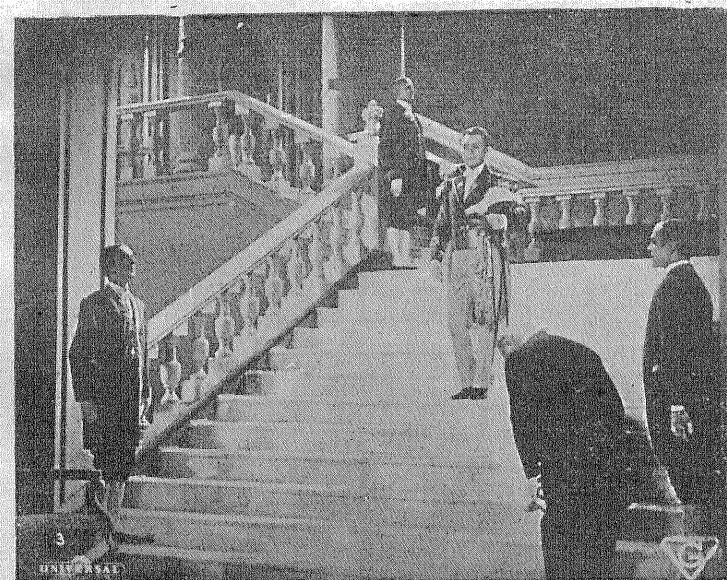
Cesare Grawina, 70-letni artysta filmowy, pracuje dla wytwórni „Universal Pictures Corporation“.



Brygida Helm, stworzyła czarującą postać w filmie p. n. „Pięćdziesiątka“ według Zoli.



Jean Murat w najnowszym filmie produkcji francuskiej p. n. „Golgota miłości“.



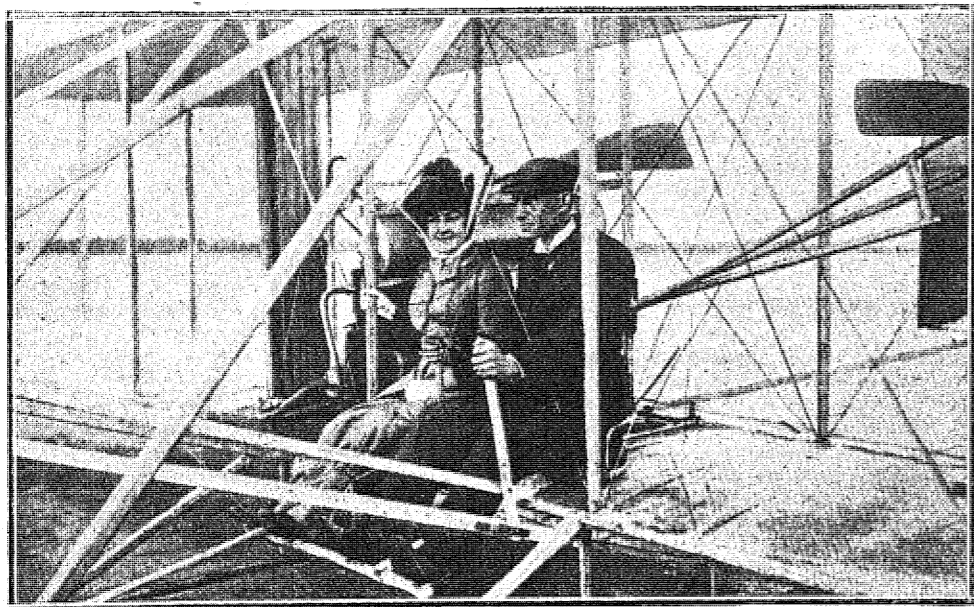
Iwan Mozzuchin — genjusz jako „Prezydent“ w filmie zrealizowanym przez „Universal“.



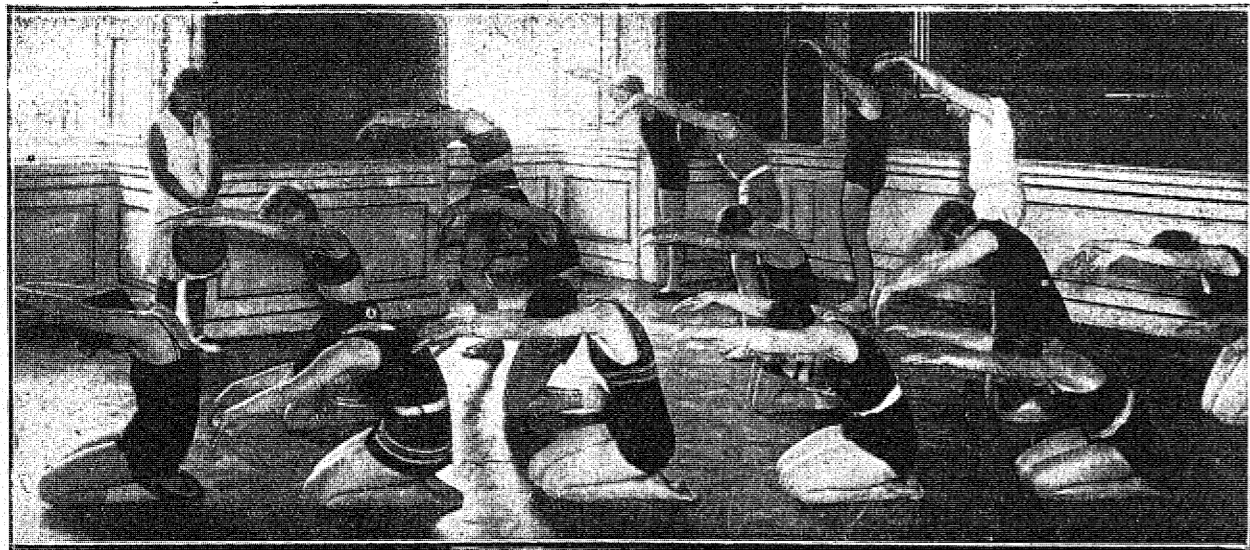
Ewelina Brent, nowa wielka gwiazda ekranu amerykańskiego, partnerka Janningsa.



Narciarki warszawskie uprawiające trening biegów naprzelaj pod kierownictwem p. Szelestowskiego. Powyżej kolumna narciarek w pełnym marszu.



Wilbur Wright z pierwszą pasażerką w podróży powietrznej.



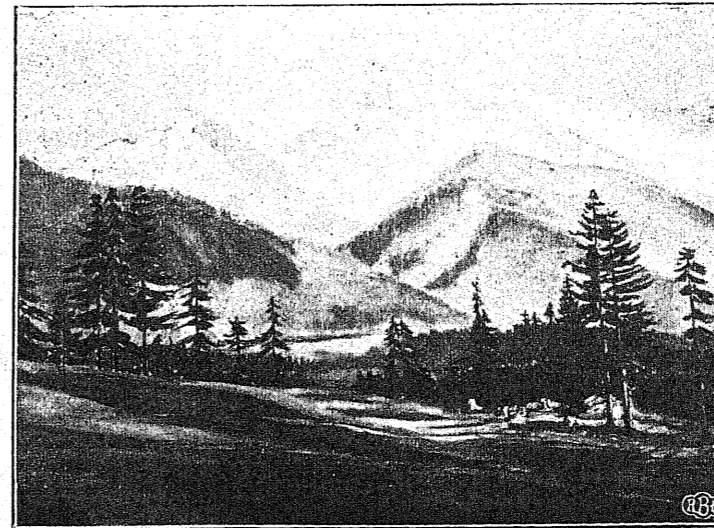
Gimnastyka rytmiczna uczenic szkoły [Luxemburskiej].



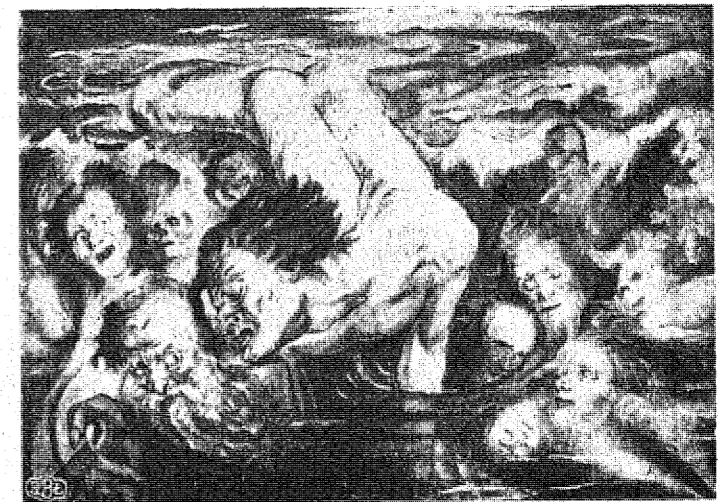
W miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi wystawił nastrojowe i wizjonerskie prace (wykonane w transie) art. mal. Marjan Grużewski. Powyżej obraz, wyobrazający „Wejście do czyścca”.



„Miłość” — Marjan Grużewski.



„Giewont” — obraz pendzla art. mal. Antoniego Tadeusza Wippla.



„Wizja z Apokalipsy” — Marjan Grużewski.

PESLOUAN.

Dziecko.

Michał Dautruche, ginekolog szpitalów paryskich, wyszedł z gabinetu prezesa sądu i dużym krokiem zmierzał przez salę sądową ku wyjściu. W chwili kiedy miał gmach opuścić jakiś adwokat wystąpił z

gromadki zebranych osób i zbliżył się doń.

— I cóż, Michale?

— Nie stawiała się... Byłem tego pewny... Wyjechała pewnie z tym fircykiem... Rozumiesz chyba, że nie ruszy się z Biarritz czy Saint-Jean-de-Luz dla tak banalnej sprawy, jak rozwód. Nie mamy zresztą dzieci, procedura ułatwiona zatem.

Przyjęła na siebie całą winę. Jest daleko bogatsza ode mnie... Byłem w jej życiu epizodem tylko i kwita.

— Mój biedaku!

— Nie współczuj mi tylko, bardzo cie proszę. O co chodzi? Wiem, wiem, co mi chcesz powiedzieć: kochałem ją... To prawda. Chciałem świat zawojować dla

niej; zawojuję go teraz dla siebie wyłączenie. Jestem człowiekiem pracy, jak ci wiadomo. Złe zrobiłem, że straciłem głowę dla jednej z takich lekkomyślnych panien, która nie mogła być ani towarzyszką, ani współpracowniczką, ani przyjaciółką dla mnie. Dziś płacę za swą omyłkę i wszystko w porządku. No, dowidzenia...

Scisnąwszy dłoń swego rozmówcy, wyszedł na ulicę i skinął na taksówkę, której szoferowi dał swój adres. Wszedłszy do mieszkania, wezwał pokojówkę i wydał jej rozkaz:

— Spakujesz wszystkie rzeczy, należące do pani w kufer i odeszlesz do M-me Harel, jej matki. Poczem zamkniesz drzwi buduaru i oddasz mi klucz. Możesz odejść.

Pchnął drzwi swego gabinetu i zdjął słuchawkę.

— Hallo! Laborde.. 11-60. Zakład położniczy Świętego Wincentego. Doktor Shell jest? Dziękuję... Hallo! To pan doktorze? Słuchajcie, kolego: wstrzymałem swą decyzję na posadę ginekologa, którą mi proponowaliście łaskawie. Tak jest... osobiste względy zniewalały mnie do tego. Dziś, nie istnieją już: będę teraz daleko wolniejszy... tak... o wiele... o wiele swobodniejszy. Zaszły pewne okoliczności, które... Decyduję się, jednym słowem.

Zawiesił słuchawkę, podszedł do swego biurka i przyglądał się długo fotografii, stojącej ukośnie pomiędzy plikami papierów. Otworzył później ramkę, wyjął odbitkę i nie mrugnawszy nawet okiem, podarł ją w drobne kawałki. Poczem postawił pustą ramkę na stole, popatrzał jeszcze chwilę na nią i zabrał się do pracy, mruknawszy:

— Trzeba czasem wspomnieć...

Minęło kilka niczem niezamąconych tygodni. Pewnego ranka, Michał Dautruche otworzywszy jeden z listów i spojrzawszy na podpis, wzruszył ramionami:

„Mój drogi Michale — pisał przyjaciel adwokat — czy wiesz, że Harel'owie zostali zrujnowani w ostatnim krachu, który wstrząsnął paryskim światem finansowym? Donoszę ci o tem na wypadek, gdybyś się interesował tą sprawą...”

Michał wyjął spokojnie bilet wizytowy z pudełka i skreślił co następuje:

„Kochany przyjacielu... Uprzejmie dziękuję za wiadomość, która mnie absolutnie nie obchodzi. Przy sposobności zapewnienie o mojej serdecznej przyjaźni dla ciebie...”

Zapukano do drzwi gabinetu.

— Depesza dla pana doktora...

Otworzył ją i przeczytał:

„Prośba o natychmiastowe przybycie na poród. Księżna Santa-Real. Cena według żądania. Wyraży szacunku. Madryt. Zamek królewski.”

— Proszę przygotować mi walizę. Jadę pociągiem wieczornym.

Wyszedł, objechał swe kliniki i skończył dzień w szpitalu. W chwili, kiedy miał

wyruszyć od siebie, po obiedzie na pociąg Sud Express, telefon zadzwonił.

— Wzywają pana doktora do szpitala — oznajmiła służąca.

Wziął słuchawkę i po chwili odpowiadał z grymasem niezadowolenia na twarzy, niewidzialnemu rozmówcy:

— Jest przecież lekarz dyżurny, wszak prawda?... A więc...? Muszę wyjechać... Co takiego...? Poród przedwczesny...? Ach! Cesarskie cięcie...? Poczóż cesarskie cięcie...? Ale!... Co znowu...? Dobrze... dobrze... Wstąpię!...

Zszedł ze schodów i otworzył drzwiczki swego auta.

— Na dworzec d'Orsay, panie doktorze, nieprawdaż?

— Nie, do szpitala.

Postawił walizkę w nogach i wsunął się w kąt, zrzędząc:

— Do krośset! Wieczne niespodzianki...!

Podjechawszy, trzasnął drzwiczkami, zwracając się do szofera:

— Poczekajcie na mnie, niedługo tu zabawię. Pojadę expressem na Pau i koniec...

Wszedł do szpitala. Jedna z pielęgniarek oznajmiła mu po drodze:

— Młoda dama, przywieziona dziś wieczorem...

Michał Dautruche, nie odpowiadając, udał się do wskazanego pokoju i... stanął na jego progu, osłupiał. Kobieta, która leżąc na łóżku, jęczała, ucichła nagle i otworzywszy usta, patrzyła nań przerażonym wzrokiem. Ginekolog szepnął:

— Simono... Ty, tutaj!...

— Michale!... Michale!... Przysięgam, że nie wiedziałam... To mama... Jesteśmy biedni teraz... Ratuj mnie... Ratuj mnie, Michale! Boli!... Boli!... Ach, jak boli!...

Zbolały głos wzruszył go, jak dawniej i mimo woli zbliżył się, pogładził wilgotne czoło, pytając:

— Moje biedactwo... Dawno cierpisz?

Nie zrozumiała pytania i między dwiema czkawkami, jęknęła:

— Michale... Porzucił mnie... z chwilą, kiedy się dowiedział... że nic już nie mam.

Ginekolog zacisnąwszy wargi zrobił ruch i powstrzymał się.

— To było do przewidzenia. Dziecko, zatem... jego?

Skinęła głową, zakrywając twarz dłonią, jakby obawiając się uderzenia.

Michał Dautruche uśmiechnął się smutnie.

— Kochałaś go więc tak bardzo, że zgodziłaś się na to, o co ja prosiłem daremnie?

— Za tę cenę jedynie chciał się zemić ze mną...

Nagle krzyknęła głosem zwierzęcym, zaciskając pięści:

— Ach!... Ach!... Ach!... Michale!... Boli!...

Już ginekolog zrzucił płaszcz i wkładał swoją bluzę, wydając pocichu rozkazy pielęgniarkom:

— Woda, kompresy... Wszystko robić co potrzeba... Ja... potem ureguluję rachunki... Zrozumiałyscie...? Ja koszty ukryję...

Kobieta całą noc krzyczała. Dziecko miało złą pozycję. Milcząc, z zaciśniętymi zębami doktor doglądał tę położnicę, którą kochał. Kobieta, zmiażdżona cierpieniem, nie odzywała się. O świcie warte dziecko przyszło na świat. Włożono je w watę natychmiast.

W chwili, kiedy doktor zrzuciwszy już bluzę, z płaszczem na rękę, zajrzał jeszcze do pokoju, chora usypiała. Ostrożnie, ułożył kołdry i z niezwykłą troskliwością upewnił się, czy kompresy są na miejscu. Nagle usłyszał głos:

— Michale!... Michale!... Przepraszam cię...

Ginekolog drgnął i kołdrę spuścił. Teraz stał w pewnym oddaleniu od łóżka, spoglądając na uśmiechającą się ze zmieszaniem kobietę.

Michał Dautruche zmrużył oczy — ogarnięty nagle potrzebą snu... czy też... usiłując powiązać dwie myśli w jedno...

Na białym prześcieradle delikatna ręka młodej kobiety wyciągnęła się ku niemu.

— Michale!... Michale!...

Zrobił krok naprzód i musiał okrążyć kołyskę z dzieckiem. Przez szklaną pokrywę ujrzał niemowlę w wacie, które spało, oddychając zaledwie. Nachyliwszy się, popatrzał na to nędzne stworzenie, podobne do tego, co tak gorąco pragnął mieć w swym ognisku domowym — do dziecka... Zatrzymał się i z wysiłkiem udając, że nie widzi wyciągniętej ręki, odezwał się, odwracając oczy:

— Najlepsza część przypadła ci w udziale, Simo... pani. Należysz teraz do tego maleństwa, z ciebie zrodzonego. To cię podtrzyma. Niema nic wyższego nad uczucie dla dziecka, pod słońcem...

Westchnął głęboko.

— Żegnaj panią, wyjeżdżam na jakiś czas. Mój asystent będzie miał staranie o pani. Nie trzeba mi dziękować... Spełniłem mój obowiązek jedynie.

Wyszedł, nie odwracając głowy, hołsny szloch żegnany:

— Michale!... mój jedyny!...

Na ulicy, musiał sam otworzyć drzwiczki auta, w którym jego szofer zasnął.

— Do Austerlitz, tylko prędko. Zdąże jeszcze na pociąg pirenejski.

Zamknął oczy, śmiertelnie znużony. W półśnie miał przed oczyma klucz od niezamieszkanego buduaru, leżący na jego biurku, tuż obok ramki pustej, w którą się wpatrywał niekiedy podczas goryczy pełnych wieczorów.

Szepnął do siebie:

— Dziecko... dała mu dziecko. Tego, tego właśnie nie daruję jej nigdy...

Wzniósł ku oczom dłonie, które zdawały się trzymać niewidzialną pieluszkę niemowlęcia. Uśmiechnął się do wizji, poczem zaniósł się cichym, ludzkim płaczem.

Tłum. Jotsaw.



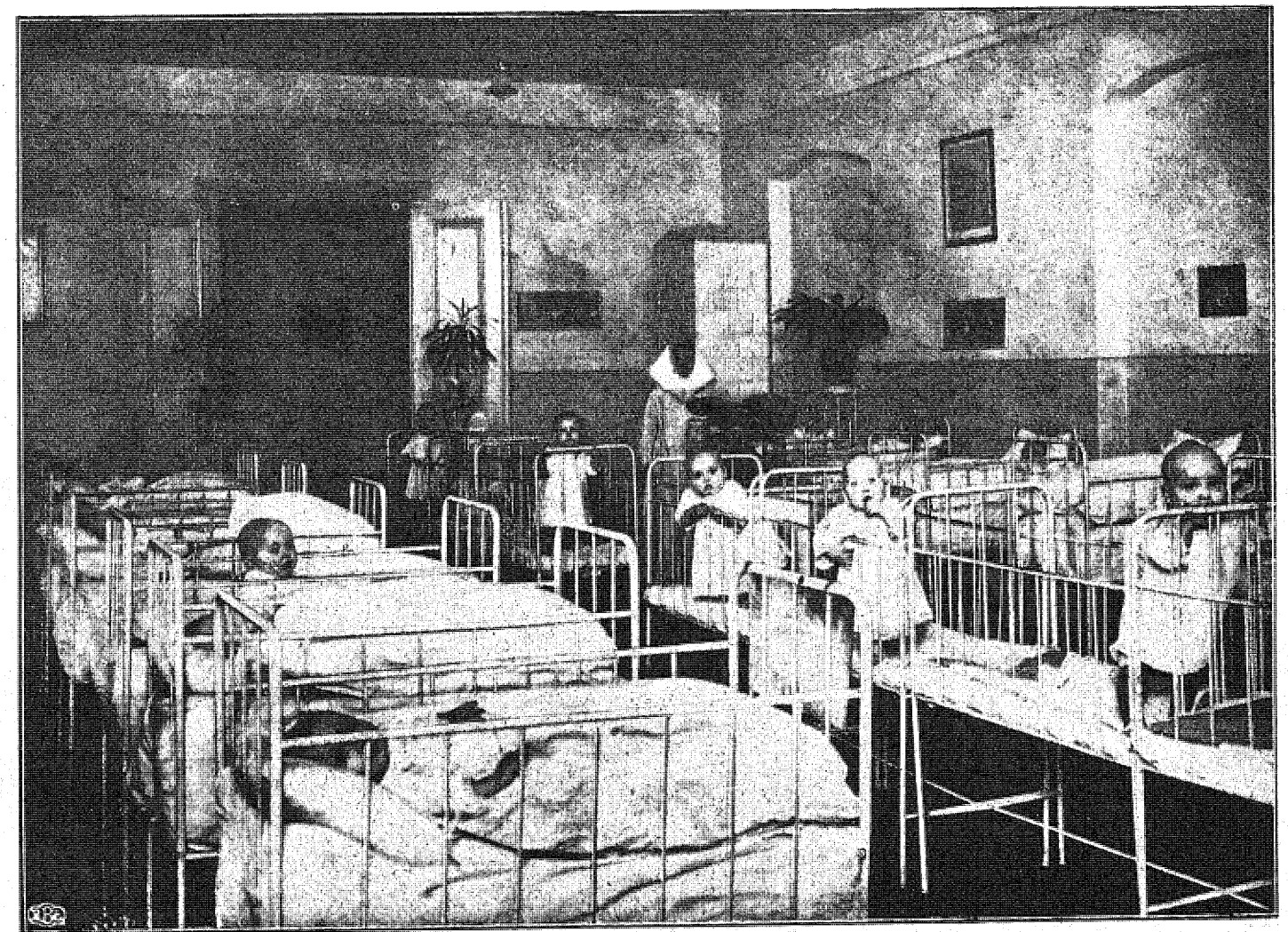
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI.

Niedziela, dnia 3 marca 1929 roku.

Nr. 9.

W trosce o zdrowie przyszłych pokoleń.



W wielkich skupieniach ludzkich, będących terenem częstych wypadków i wszelkiego rodzaju przestępstw istnienie domów wychowawczych i zakładów opiekuńczych stanowi dzieło wzniosłego humanitaryzmu. Do miast takich, w których nie ginie bezużytecznie młoda latorość małeży również i Łódź. Na szczególną uwagę zasługują tu domy wychowawcze dla niemowląt, w których wychowuje się dziatwa zarówno rodziców ubogich, jako też niemowlęta nieznanego pochodzenia. Powyżej widzimy wdzięczny obrazek, jaki przedstawia jedna z sal I-go Miejskiego Domu Wychowawczego dla niemowląt w Łodzi.

Fot. p. Włodzimierz Pfeiffer.